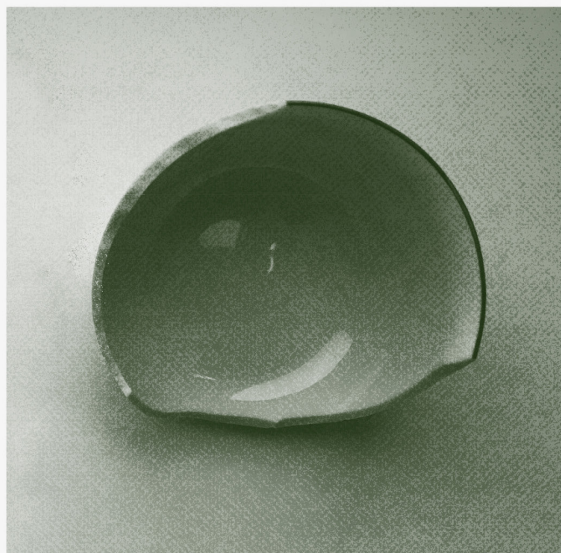
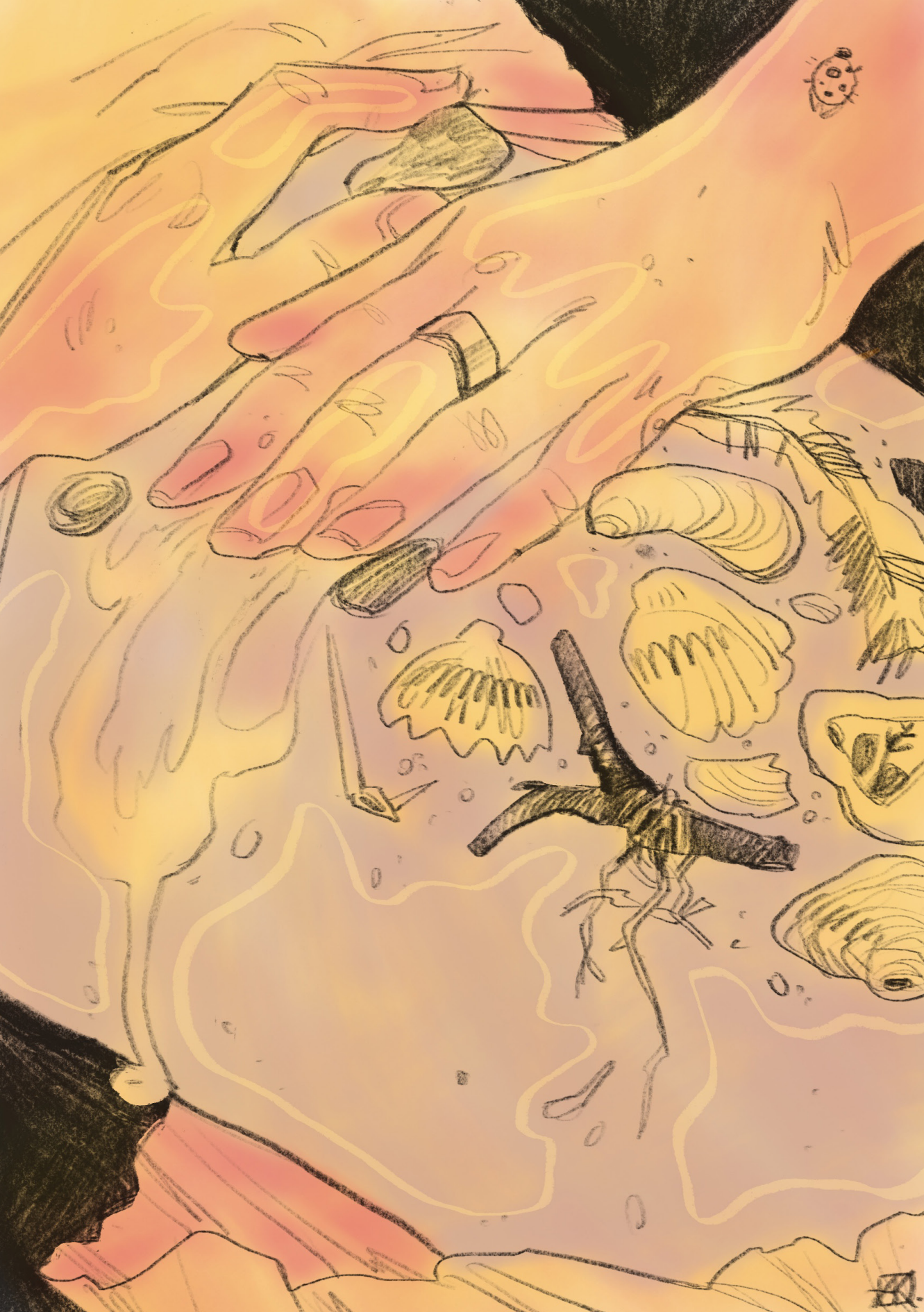


.



Agata Dyczko, Zuzanna Stempska, Julia Sałacińska,
Jagoda Marcinkowska, Sasza Pohorelov, Marta Kot

Roksolana Zharkova, Marcin Salwin, Sonia Surma,
Magda Salak, Weronika Wieczorek, Jan Mokrzycki



4	Agata Dyczko, Gościni numeru Żukowo (fragmenty)
10	Zuzanna Stempska (Nie)widzialne
14	Julia Sałacińska (u)czucie
18	Jagoda Marcinkowska pomidory
20	Sasza Pohorelov kamień (powiat wejherowski)
26	Marta Kot szybciej, ***
28	Roksolana Zharkova Zegarki
34	Marcin Salwin Pożegnanie ze sceną
40	Sonia Surma bezgłowa sonia
42	Magda Salak hop, prośba
46	Weronika Wieczorek Moja siostra położyła się na plaży
49	Jan Mokrzycki na jesień za słabo przybiłem śledzie

Żukowo (fragmen- ty)

Agata Dyczko
Gościni numeru

intro

jeśli cztery myszy przebiegły przez drogę
jeśli cztery myszy
domy i obory schowane są za wzniesieniem
bo silne wiatry ciągną okolicę za trawę i drzewa
i wszystko
ciągnięte jest z zachodu na wschód

pochylił się szpaler drzew przy drodze
pochyliła się cała wieś
wyła podwórzem
i świstała szparami i oknami
o kilometr stąd tańczyło i straszycło
morze
aż plaży nie było
ale nikt nie patrzył, bo wszyscy byli tu

cztery myszy przebiegły
kot z psem bawili się
krowy patrzyły na siebie w cichych oborach
czekały

kobiety we wsi były chore
pięć sióstr leżało na tapczanach
i pięć domów im się przyglądało
ze ścian patrzyli przodkowie i jesus

drzewa i księżyc w niebieskim ogrójcu i paprocie na meblościan-
kach

gotował się rosół i lał w niemiecką porcelanę, której nikt nigdy nie kupił
dym z kominów uciekał szybko na wschód
podwórza wyły
luźne blachy rezonowały w powietrzu
jak święte

Zamieszkałyśmy we wsi, której ściany zostały wypalone w cegielniach górnej Odry jeszcze przed wojną. We wsi były trzy duże stada krów, jedna gospodyni hodowała kaczki i kury, były dwa lisy, których ścieżki ciągnęły się po polach, między lasem, a wsią, i dalej, przez wieś w stronę morza. Były ruiny cmentarza żydowskiego, a przynajmniej wiadomo, że kiedyś tam był, bo macew użyto do wzmocnienia wypłukiwanego przez rzekę fragmentu wału. Zostały tylko nierówności gruntu, kępy traw i drzewa. Był wał, który odgradzał rzekę od pól. Były pola, które na starych mapach oznaczano jako jezioro, ale niemiecka melioracja zamieniła je w żyzne pastwiska poprzecinane gęstą siecią rowów. (Jak chcesz dojść do lasu, musisz przeskoczyć przez rów jakieś dwadzieścia razy). Tylko jedna gospodyni we wsi trzymała świnię, kiedyś we wsi było ich znacznie więcej. To ona zachorowała jako pierwsza, ta od świń, po niej kolejne, wszystkie w ciągu czterech miesięcy.

Był most.

Przyjechałyśmy do wsi mostem przez rzekę, weszłyśmy do pierwszego domu. Jedliśmy rosół zgromadzeni wokół chorej, którą w łóżku, wspartą na poduchach, karmiła jej najstarsza córka.

Było spokojnie i przyjaźnie. Było niewymownie smutno.

Kot patrzył na nas przez szybę, trzymając w pysku jedną z czterech myszy. Zostały trzy. Pomyślałyśmy obie naraz, ja i moja towarzyszy-
ka i spotkałyśmy się wzrokiem. Kobieta odsłoniła wielkie zabanda-
żowane kończyny i zaczęła szlochać. I wszyscy zapłakali.

Ukrywałam wzruszenie pod nałogiem, stałam na podwórzu i pa-
liłam. Na niebie krążył helikopter. Z domu jak granat wypadł syn
gospodarzy, biegł tak szybko, że nie zdążył wyhamować i właści-
wie zatrzymał się na mnie. Miał około siedemnastu lat. Zadarł gło-
wę. Patrzyliśmy. Na sznurkowej drabinie wypuszczonej z maszyny
dyndały cztery małe figurki. Zamiast poczekać, aż hałas ucichnie,
postanowił wykrzyczeć mi wyjaśnienie do ucha.

– Ćwicz! Robią pętlę nad naszym domem. Obserwuję to! – chwa-
lił się.

Nie mam w zwyczaju uśmiechać się z grzeczności, poza tym bolało
mnie ucho. On jednak patrzył na mnie z bliska, jakby nie zamierzał
przestać, dopóki się nie uśmiechnę. Uśmiechnęłam się skrępowa-
na jego zarumienioną skórą i jakimś morskim zapachem – świe-
żym, ostrym, nie stamtąd, gdzie dotychczas bywałam i też nie
stąd, zapachem przywianym z daleka i zdrowym.

Wtedy spytał:

– Moja matka umrze, prawda?

– Nie wiem.

– Tak.

Nie wiem, czy sam sobie odpowiedział na pytanie, czy po prostu
dał mi znać, że rozumie, co do niego powiedziałam.

– Tak – powtórzył. – Chce pani zobaczyć zdjęcia nóg? Powinna
je pani obejrzeć, prawda? – Wyciągnął telefon. Otworzył galerię,

chwilę przesuwając palcem po ekranie, znalazł zdjęcia, zawahał się jeszcze chwilę i mi go podał.

– Fragmenty czernieją i kruszą się, czasami jak purchawki zamieniają się w puch, każde dotknięcie sprawia, że deformują się lub znikają. To, czego nie widać na zdjęciach, to cierpienie matki... – wzrusza się niespodziewanie, próbując to opanować, na ściśniętym gardle mówi dalej.

– Mamy tutaj taki staw, zarasta grubą warstwą glonów, glony tworzą kozuch. Późnym latem, kiedy je zbieram, wypłutuję z nich szkielety ryb, ptasie niedoloty, mnóstwo owadów i obrośnięte śmieci, butelki. Te nogi mają zapach wody z tego stawu albo nawet bardziej zapach bagien, mokradeł w lesie, stojącej wody, w której rozkładają się drewno i ziemia... Poprosiła mnie wczoraj, żebym jej je odciął... nogi. Ja bym je odciął i zakopał. One już chcą do ziemi.

– Twoja matka jest młoda i piękna, ma piękną twarz, taką świetlistą. Zawsze tak wyglądała?

– Prawda? I pani też to widzi. Ta choroba przyszła z zewnątrz i to nie jest ona, ta choroba nie jest moją matką. Dlatego myślę sobie, czy można by ją zabrać do szpitala i odciąć te nogi, przetoczyć krew? Odłączyć ją od obcej choroby. Zacząć od początku.

– Nie wiem.

– Proszę pani, my tu przyszliśmy.

– Co masz na myśli?

– Nie jesteśmy stąd, umiemy zaczynać od początku. Niech nam pani pomoże – przytula się do mnie gwałtownie i mówi szeptem: szybko. – Rodzice byli w lesie. Wyszli tutaj zaraz, dwa kilometry stąd. Ktoś zaświadczył, że kuzynka, że szwagier i ponoć nic by z tego nie było, gdyby nie to, że mama ma szare oczy.

– Szare? Wydawały się zielone.

Przelatuje helikopter. Chłopak się drze:

– Ściana w pokoju jest zielona, to zdaje się, że zielone, ale one są szare.

– A reszta?

– Z tego, co wiem, resztę przywieziono cztery, pięć lat wcześniej, transportem kolejowym. Jakiś czas po wojnie. Potem szli przez te pola. Z krową, z wózkiem, z workiem. Ze wszystkim – zapatrza się na delikatnie wybrzuszony horyzont. – Tylko żuki są stąd. Taka historia. Była pani u krów?

– Nigdzie nie byłam.

– To proszę oddać mi telefon, pójdziemy, dobrze? Zawołać tę drugą panią? Zawołam.

– Tak.

– Tak.

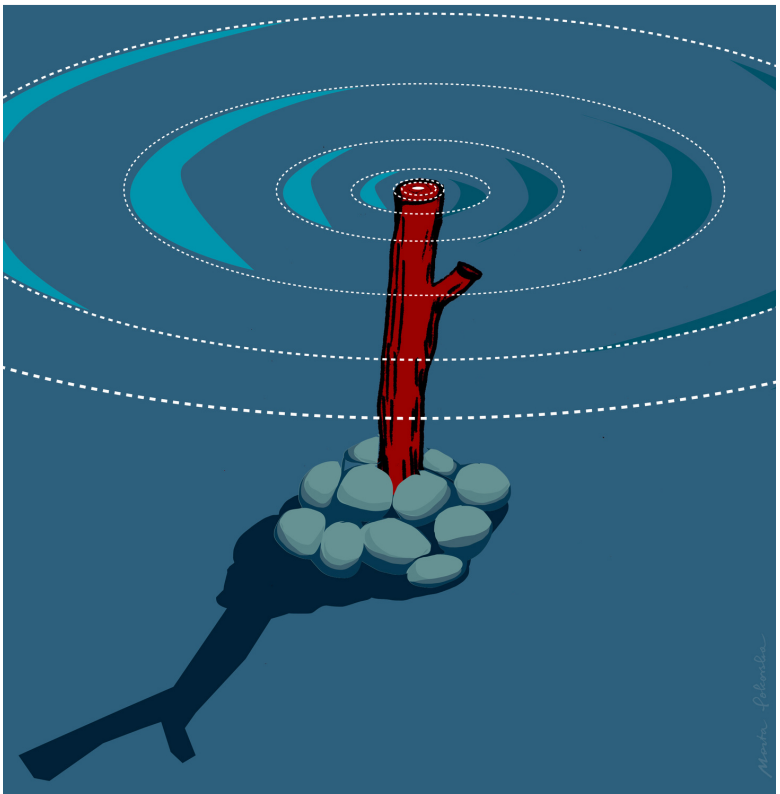
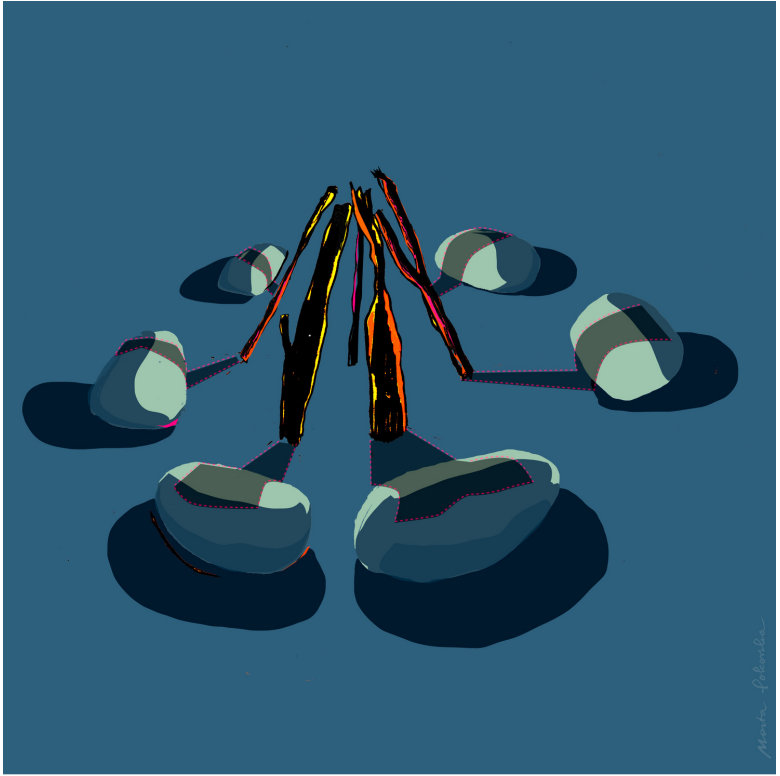
Powoli zaczynałam rozumieć „tak”, które zaproponował mi chłopak. Było jak uścisk dłoni, potwierdzenie wspólnego planu i wzajemnego porozumienia, może nawet pobrzmiewała w nim empatia i sympatia.

– Tak – powtórzyłam, bardziej do siebie niż do niego.

– Tak – powtórzył jak echo i ruszył do domu.

Odwrociłam się. Na progu stały dwie córki. Patrzyły na nas. Ciekawe, od jak dawna. Wiatr przechylał ich spódnice i poskręcane wilgocią strąki włosów na lewo, na wschód. Stały jak figurki na pochyłym blacie. Dom też się chylił. Podwórze wyło. Co mogło, świstało.

Agata Dyczko – szczególnie interesują ją sytuacje wielogatunkowe, w szczególności relacje i negocjacje, również niemożliwe społeczności i zdziczenia przetworzonych człowiekiem krajobrazów. Tworzy instalacje dźwiękowe, słuchowiska i spektakle, pisze, nagrywa i bada dźwięki, prowadzi autorskie audycje w ramach *Pasma dla Ziemi* w Radio Kapitał: w *pasiece taty dyczko* i *hydrofony mes amours*. *Żukowo* to jej debiut prozatorski, który ukaże się jesienią 2024 r. w Biurze Literackim.



(Nie)wi- dzialne

Zuzanna Stempaska

Minęła wiosna. Tak, jakbym zamknęła oczy, mocno je zmrużyła i szybko otworzyła szeroko. Promienie słońca były tak złaknione, że aż parzyły w czoło. Wielki kasztan za balkonem był rozgałęziony. W deszczu zawsze podrygiwał, machał do mnie, dając znać, że wszystko jest okej, mimo że nie wygląda. Czasem odmachiwałam. Niedługo później kasztan wybuchnął zielenią, a zauważyłam to dopiero dzisiaj.

Ostatnio znalazłam patyk, chyba w końcu taki mój, mój prawdziwy. Leżał sobie o tutaj, spójrz. No, byliśmy tu, nie pamiętasz? W listopadzie. I tak szłam wtedy z tobą, ty coś mówiłeś... a, o tym stole dębowym, co znalazłeś go, wracając z pracy. Tak, to pamiętam.

Nie słuchasz mnie w ogóle.

Nieważne, to nie gra żadnej roli w tej opowieści.

Znalazłam patyk, albo teraz Patyk, kiedy sobie odpoczywał. Leżał w pozycji horyzontalnej pod japońską wiśnią, zaraz obok ścieżki. Nie wiem, dlaczego nikt nie pokusił się, żeby Go zabrać, takie patyki rzadko się trafiają. Wokół leżało dużo innych, też patykowych, powyginanych na przeróżne sposoby. Ale wokół tego trawa i liście aż ustąpiły, tworząc coś na kształt okręgu. Trochę depcząc inne patyki, niektóre omijając, wzięłam go do ręki. I do słońca, do słońca Go odwróciłam i wyglądał tak... zwyczajnie. Dlatego Go wzięłam.

Teraz go opiszę. Opis będzie zwięzły, a przynajmniej postaram się, żeby taki był. Patyk mieści mi się w dłoni, jest dokładnie tak długi, jak odległość pomiędzy palcem serdecznym a początkiem nadgarstka. Jest prosty, ale widać od razu, że był częścią czegoś większego, są na nim pozostałości po rozgałęzieniu (czyli ma rodzeństwo). I teraz

najważniejsze, musisz się skupić. Cały jest pokryty wzorkami. Biegną we wszystkie strony. Rany bitewne. Dużo stworzeń, innych niż Patyk, chciało, żeby On przestał istnieć. Żeby przestał czuć.

Ale patyk jako istniejący byt? Żywy?

Tak, w tym świecie bytem może być wszystko, czego tylko zapragniesz. Wystarczy uwierzyć i zauważyć niewidzialne. Bo tak naprawdę cały sekret tkwi nie w tym, żeby ciągle szukać, ciągle uważać i ostrożnie stawiać kroki. Trzeba wiedzieć, gdzie spojrzeć i na co. I nie bać się po to sięgnąć.

Dużo się zmienia, odkąd zaczynasz tworzyć życie tam, gdzie go nie ma. Stwarzać je myślami. Prostymi słowami nadawać mu sens. Mówić, że jest ważne i potrzebne. I wtedy ono też uwierzy w ciebie. Zobaczy cię i zapamięta.

Bo tak naprawdę ja to wszystko wymyśliłam. Mnie już dawno tu nie ma.

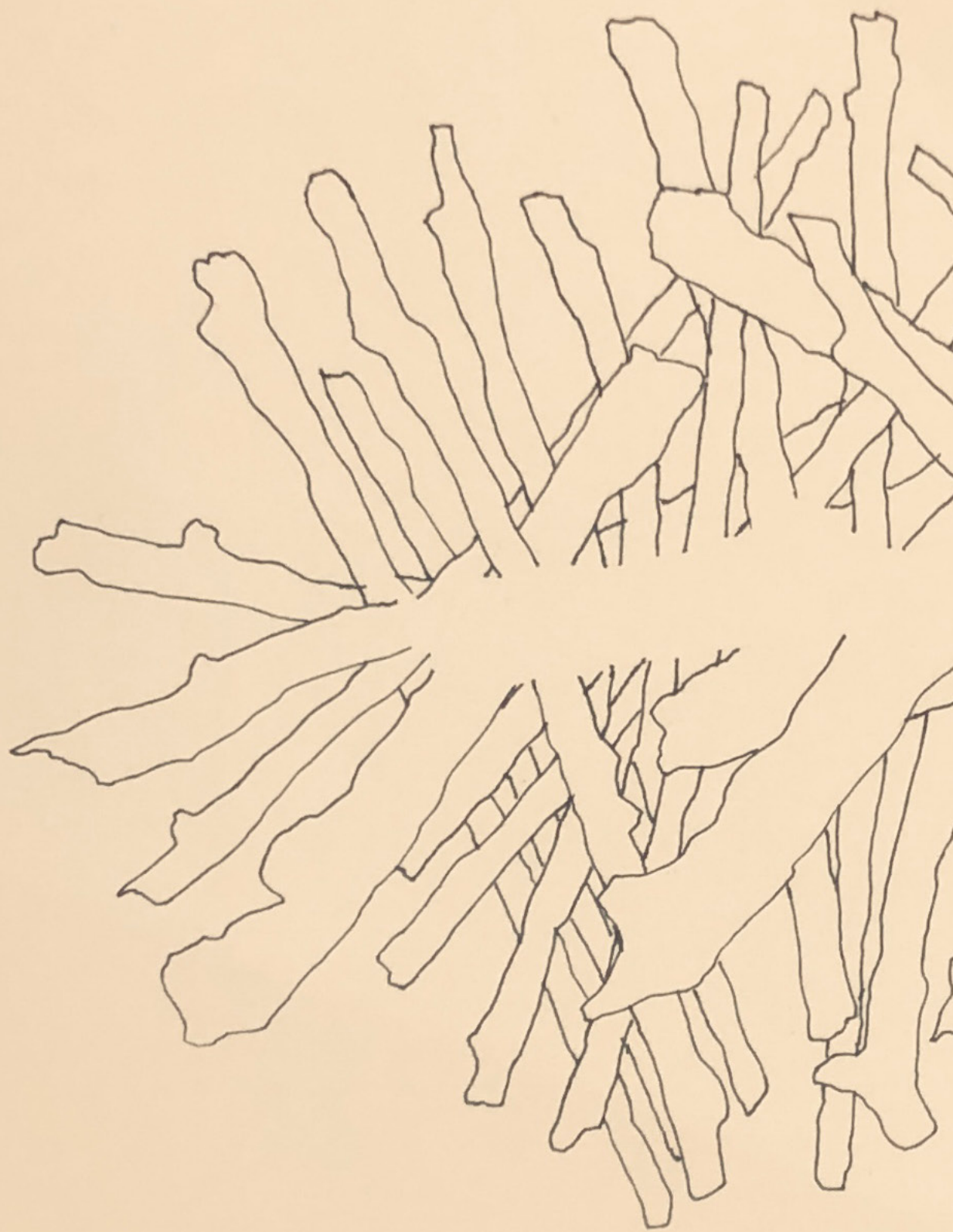
A może jestem?

Słyszysz mnie zawsze, kiedy szumią drzewa. Widzisz mnie, jak odbijam się od ziemi, gdy spadam. Czasem się poturbuję i połamie, ale będę. Ktoś mną rzuca, ktoś mnie podnosi. Albo wiatr przesuwam mnie trochę dalej. Kiedy spadnie deszcz, lekko rozmiękam, pewnie wtedy wyglądam inaczej, ale przecież to wciąż ja.

Mogę być, czym chcesz. Po prostu powiedz. No, powiedz, czym. Bronią? Tylko mnie naostrz. Podporą? Tylko mnie postaw. Zabawką? Tylko mną rzuć, ale nie za daleko, żeby pies wiedział, gdzie mnie szukać.

Jestem, a tego nie zauważasz. Tak bardzo próbuję być, ciągle na powierzchni. Ciągłe obok.

Zuzanna Stempka – od 2020 studentka Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Jej zainteresowania to instalacja, rysunek, wideo oraz teksty autorskie. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @zstempka.





(u)czucie

Julia Sałacińska

Opuszki palców muskają twardą powierzchnię. Delikatna skóra doświadcza szorstkości, podąża śladem wyżłobień, napawa się niespodziewaną gładkością krawędzi. Oczy patrzą na bryłę, na kształt najczęściej nieokreślony. Mają przed sobą maleńką formę, zdolną schować się w dłoni lub monumentalny blok skalny, który zajmuje całe pole widzenia.

Kamień nie przeżywa.

Istnienie kamienia ogranicza się do przyjmowania tego, co przyniesie mu los. Jeśli przypadnie mu smażyć się w promieniach pustynnego słońca - będzie się smażył. Jeśli po jego krawędziach popłynie woda - pozwoli jej rzeźbić w swojej masie wszelkie możliwe kształty. Jeśli jego forma zachwyci jakiegoś plażowicza - zgodzi się na umieszczenie go w kieszeni i przetransportowanie na drugi koniec świata. Kamień daje jasny komunikat: *jestem*.

(Nigdzie się nie wybieram.

Dziękuję.)

Dłonie ostrożnie otulają jedną z wielu kwiecistych koron kwitnącej jabłoni. Lekko zaokrąglone, białe lub różowe płatki urzekają subtelnością. Ich jedwabistość filtrowanie łaskocze biegnące przez palce nerwy. Zapach niosący się od drzewa może uwodzić, lecz nie otumania swoją intensywnością, odmiennie od oblepiającej woni kwiatów wiśni. Daje swego rodzaju ukojenie, głaszcze z czułością zmysł węchu.

Istnienie jabłoni to ciągle przeżywanie.

Najpierw pączkowanie. Młode pędy jabłoni są brunatnoczerwone, pąki zaś pokryte ochronną warstwą gęstych włosków,

zwanych kutnerem. Następnie kwitnienie. Okres ten przypada najczęściej na koniec kwietnia, a kończy, w zależności od odmiany, nawet w lipcu. W końcu owocowanie. Do jesieni kwiaty przeobrażają się w kuliste owoce, których istotę stanowi soczysty miąższ, okryty czerwoną, zieloną lub żółtą skórką. Jabłoń przemawia słowami: *jestem i stoję się*.

(*Coś się zmieniło?*)

(*Chyba nie.*)

Można mieć uczucia względem kamienia.

Choćby do takiego znalezionego kiedyś nad morzem, o szaro-różowej barwie. Obracany w palcach mieni się, jakby ktoś celowo obsypał go brokatem. Z niewiadomego powodu wyróżniony pośród tysiąca rozsianych po plaży bazaltów, gnejsów i wapieni, staje się naczyniem, w które zostaje przelane błogie uczucie spokoju, ciepło promieni słonecznych i odgłos fal rozbijających się o brzeg. Po zbliżeniu do nosa czuć jeszcze słony zapach wody morskiej.

Nikommu raczej nie przychodzi do głowy troszczyć się o kamień.

Z zasady wydaje się to pozbawioną sensu czynnością. Kamieniowi jest przecież wszystko jedno. A mimo tego, jeśli natrafi się na okaz w jakiś sposób wyjątkowy, przechowuje się go tak, by nie utracić jego namacalnej formy. Jest chowany do pudełka z pamiątkami, kładziony na półce obok obrazka, wsadzany do doniczki z ulubioną rośliną i umieszczany wszędzie tam, gdzie tylko sięga wyobraźnia. Zawsze obecny.

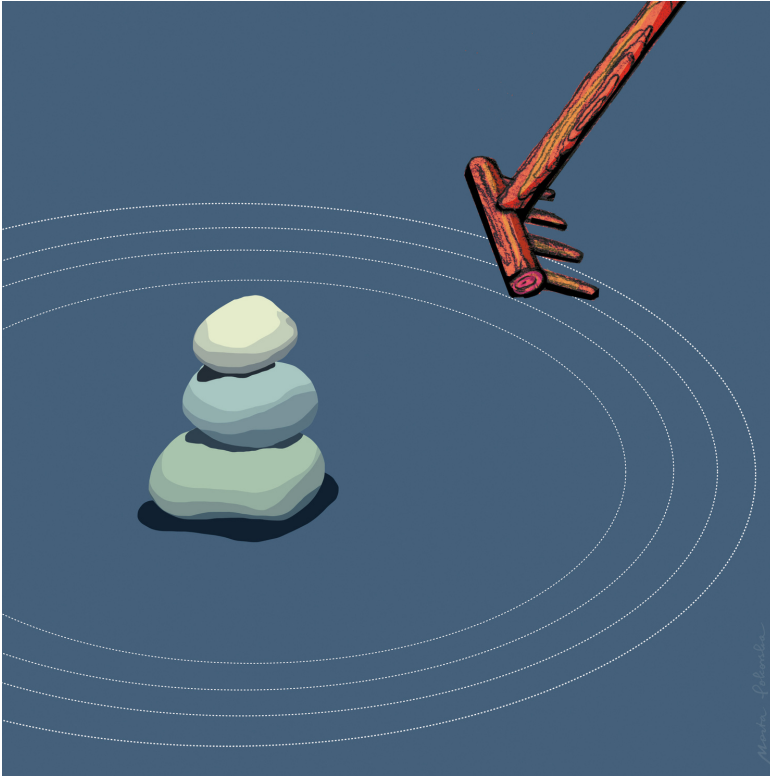
*(Jesteś gdzie indziej.
Wybacz.)*

Można mieć uczucia względem jabłoni.
Zasadniczo bardziej prawdopodobne jest jednak, iż opieka nad nią będzie sprowadzała się jedynie do obowiązku lub żmudnej rutyny. Wówczas wszelkie zabiegi pielęgnacyjne ograniczają się do minimum, mającego na celu utrzymanie drzewa we względnie dobrej kondycji. Kęs dojrzałego jabłka jest zadowalający. Brakuje w nim trochę soczystości, skórka sprawia wrażenie nieco za twardej, ale obiektywnie mogłoby zostać uznane za nawet smaczne. Czasem tyle wystarczy.

Czasem jabłoń znajduje miejsce w czyimś sercu.
Troska objawia się wówczas regularnym nawożeniem i przycinaniem gałęzi, rozglądaniem się za szkodnikami i oznakami chorób. Chce zapewnić się jej jak najkorzystniejsze warunki, by w spokoju mogła ukazać swoje pełne oblicze. Następuje to jesienią. Kęs jabłka uderza niczym łyk wykwintnego wina. Przyjemna kwasowość tańczy delikatnie na języku, przeplata się ze słodyczą, muskającą rozkosznie podniebienie. Sok figlarnie ścieka po brodzie, płynie po palcach wzdłuż dłoni. Nie szkodzi. Konsumowanie owocu wszystkich starań i trosk smakuje doskonale w każdej, choćby najbardziej prymitywnej, formie.

*(Nie było nam dane spróbować.
Przykro mi.)*

Julia Sałacińska – oswaja rzeczywistość słowami. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @despersacja.



pomidory

Jagoda Marcinkowska

pierwsza czasu letniego i tylko okna
pod blokiem gwiazdami
ledwo łapię oddech
bzem zatykam płuca
zrywam 73 lata
w dłoni pacierz
rozkwitły błękity
w rzęsy łapię duszno
i się kurzy
a na blacie pomidory w plastiku

z czasów zanim matka
albańskie
na wszystkich zdjęciach w ustach
papierosy
teraz wypalam
wzrokiem dziury w paczce
po tym jak na jesień byłam w Tiranie
matka pamięta inaczej

tego lata wiecznie
dziczejące pomidory
nie pochylą się
ku ziemi
nie z ziemi
powstaną
nie w ziemię
się obrócą
poszła z zimną zośką na układ

nigdy
ich nie zjem
moja matka
ich nie zje

jak ona będę miała ziemię za paznokciami
perły i długie włosy na obojczykach

trzeba zasadzić pomidory a potem o nie nie dbać

kamień (powiat wejhe- rowski)

Sasza Pohorelov

Kiedy Kinga, moja babcia, zmarła, został po niej worek wczorajszych śmieci i kolekcja pomalowanych kamieni. Kolekcja tak duża, że jej małą chatkę można by nazwać muzeum. Nie zdziwiłbym się, gdyby ostatnią myślą Kingi przed zawałem było to, jaką czcionkę wybierze rada gminy na tablicę pamiątkową. Po śmierci mojego dziadka babcia oddała się swojemu nowemu hobby, które jest wystarczająco melancholijne, by łatwo było jej udawać przed bliskimi żal za mężem, i wystarczająco snobistyczne, by nikt nie zapomniiał o jej szlacheckim pochodzeniu. Kinga przeprowadziła się do domu rodzinnego pod Gdynią dwa dni po pogrzebie męża – nie chciała czekać ani dnia dłużej. Ich dwupokojowe mieszkanie zostało sprzedane, żeby spłacić pogrzeb Zbyszka i zapewnić spokojną starość jego rodzinie. Tych czterdzieści osiem godzin przed wyprowadzką spędziła na pilnym przemyśliwaniu swojego nowego życia, ponieważ jej rola szczęśliwej żony znanego w mieście prawnika dobiegła końca. Bardziej niż śmiercią Zbyszka martwiła się, że teraz będzie musiała odgrywać przed koleżankami postać samotnej wdowy. Bo o ile była w stanie przetrwać brak męża, o tyle nie potrafiła pogodzić się ze spadkiem w hierarchii społecznej trójmiejskich emerytek. Nie mogła zostać dłużej w mieście, które przypominało jej o nowym statusie i miłości, którą udawała, by móc co sobotę spokojnie popijać szampan na balkonach gdyńskich teatrów.

Jedynym zajęciem Kingi we wsi Kamień, do której się przeprowadziła, było zbieranie małych kamyków, rzeźbienie ich w przeróżne kształty i pisanie na nich krótkich wierszy własnego autorstwa. Jak wspomniałem wcześniej, miała tylko dwa dni na wymyśle-

nie nowego hobby, więc zrealizowała swój pierwszy i najbardziej oczywisty pomysł, łączący tytuł magistry sztuki i nowe miejsce zameldowania. Malowanie kamieni na wsi Kamień brzmiało jak nagłówek małomiasteczkowej gazety, lecz właśnie ten kicz tak jej się spodobał. Po studiach babcia pracowała jako nauczycielka w liceum plastycznym, ale kiedy dziadek zaczął wspinać się po szczeblach kariery, zdecydowali, że Kinga rzuci pracę, by opiekować się domem i dziećmi. On zdecydował. Kinga obiecała sobie wtedy, że nigdy nie porzuci sztuki, okazało się jednak, że każda aktywność twórcza przypominała jej o decyzji męża. Na początku swojego nowego, kanapowego życia malowała talerze z małopolskimi ornamentami, ale talerze te zbyt często tłukły się podczas kłótni. Od tej pory jej głównym zajęciem było pisanie krótkich wierszy, które nieudolnie ukrywała w mieszkaniu, licząc, że odwiedzające ją koleżanki znajdą notes z ze zdjęciem Achmatowej na okładce i przeczytają. Nie znalazły. Nie przeczytały.

W związku z niezdiagnozowaną nerwicą i wolnością od męża, w bardzo krótkim czasie liczba różnokolorowych kamieni z wierszami przekroczyła pięćset. Babcia zwykła żartować, że jest tak wydajna, bo odpracowuje czterdzieści lat kreatywnego urlopu, ale ja zawsze myślałam, że przy odpowiedniej dawce pregabaliny w końcu zmieniałaby temat rozmowy – ze swoich kamieni na co najmniej pogodę za oknem. Przy podwójnej dawce może nawet zapytałaby, co u mnie. Kiedy przeprowadziliśmy się z mamą z Gdyni do Warszawy, kontakt z babcią ograniczył się głównie do wysyłanych pocztą wycinków z lokalnych gazet. Nie było mi aż tak przykro, bo dzięki temu nigdy nie miałem problemu z wypraco-

waniami o rodzinie w podstawówce. Zawsze wykorzystywałem tę okazję, by opowiedzieć o mojej dziwnej babci, o której pisała chyba każda lokalna gazeta w północnej Polsce. Kiedy zadzwoniła do mnie w dniu moich dziewiątych urodzin, dowiedziałem się, że „Głos Pomorza” napisał o „wyjątkowej babci z Kamienia, która maluje na kamieniach”. Powiedziała, że w podziękowaniu wyśle im kamień w kształcie mapy Wejherowa. Była to pierwsza z dziesiątek publikacji o niej. Zapomniała wtedy o moich urodzinach, ale na sam koniec poradziła, abym „polegał tylko na samym sobie i swojej intuicji”. Właśnie te dwie umiejętności opanowała w ostatnich latach swojego życia. Na początku swojej kamiennej kariery często myślała o tym, co powie dziennikarzom, gdy w końcu dowiedzą się o jej kunszcie. Z niecierpliwością czekała na dzień, w którym redaktorzy nadmorskiej prasy zdecydują się wypełnić strony między poradnikiem ogrodniczym a krzyżówkami kolumną o jej sztuce. Babcia z maniakalnym uporem próbowała wymyślić odpowiedź na dość oczywiste pytanie – dlaczego zaczęła malować na kamieniach? Inspiracja sztuką ludową, druga młodość, wizja we śnie, tradycja rodzinna – każda wersja wydawała się zbyt oczywista i nudna. „Głosowi Pomorza” przedstawiła, nieoczekiwaną nawet dla samej siebie, głęboką i nieprawdziwą opowieść o tym, jak codziennie chodziła na plażę ze swoim mężem, a każdy kamień jest pamiątką ich głębokiej miłości, którą niesie przez życie nawet po jego śmierci. Tak naprawdę dziadek nie lubił wody, ale to wyobrażenie było na tyle wzruszające, że nie mogła się powstrzymać. Oczywiście historia się sprzedała i już miesiąc później prowadziła swoje pierwsze warsztaty arteterapii na uniwersytecie trzeciego wieku. W pewnym momencie sama zapomniała, dlaczego tak

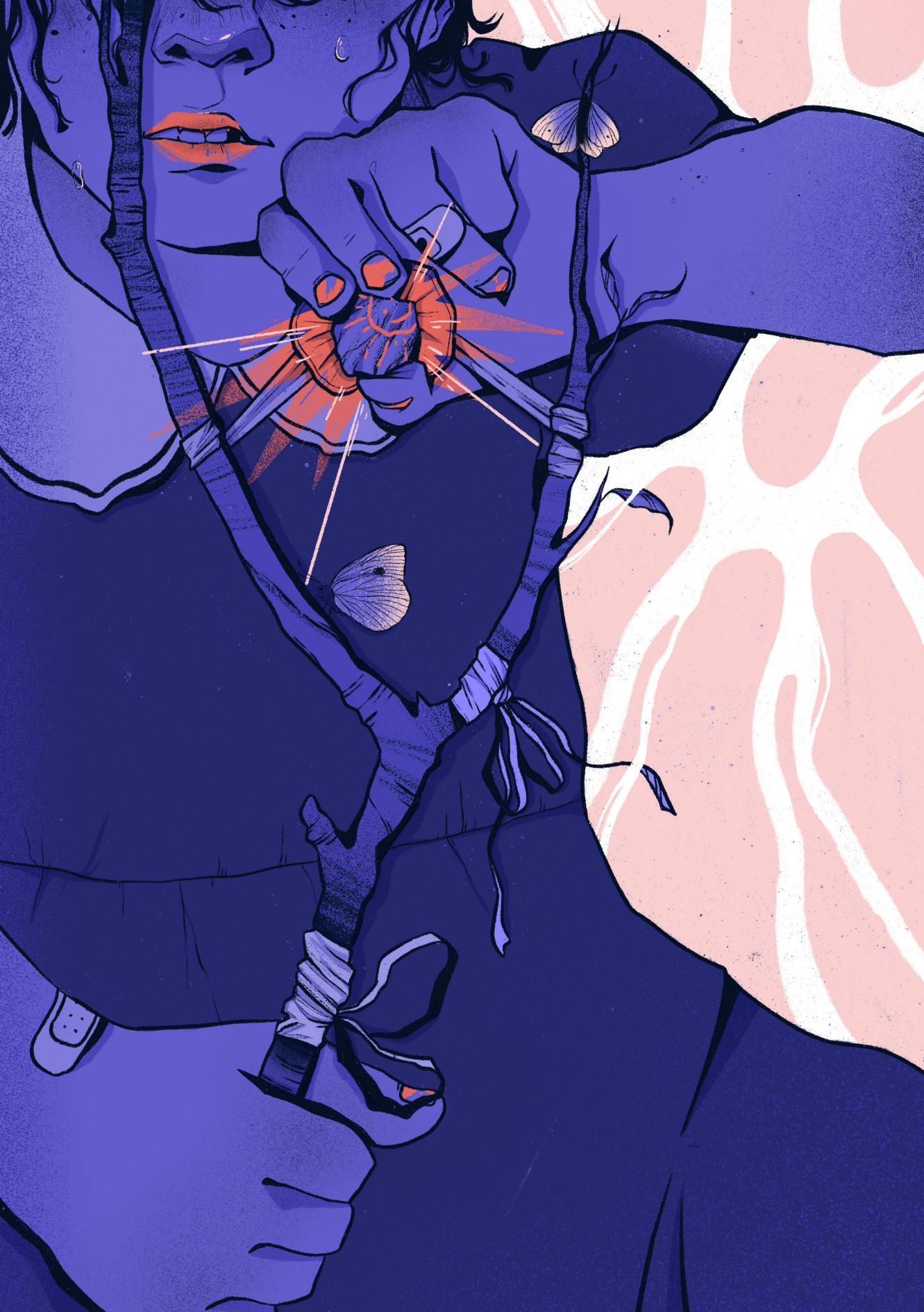
naprawdę zaczęła swoją kamyczkową przygodę, przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ten pierwszy wywiad był jedynym przypomnieniem, którą wersję zdarzeń wybrała dla małomiasteczkowych gazet i zdołowanych wejherowskich wdów. Z radością przyjęła nową rolę i zapomniała, jak to jest być żoną i gospodynią domową. Nikt już nie wspomina o sukcesach jej szanowanego męża prawnika – teraz ona jest osobą, o którą pytają ludzie, kiedy nie wiedzą, o czym rozmawiać podczas świąt. Jego brak został jej istnieniem.

Podejrzewałem, że niedługo umrze. Zaczęła częściej dzwonić i coraz rzadziej pojawiać się w prasie gminy Wejherowo i okolic. Miałem nadzieję, że tuż przed śmiercią, przypomni sobie krótkie czterowiersze, które kiedyś wspólnie układaliśmy na plaży. Za młodu byłem jedyną osobą, którą zapraszała na wyjazdy nad morze. Bardzo szczegółowo tłumaczyła mi, jaki kształt powinny mieć kamienie i jaka powierzchnia jest najlepsza dla farb olejnych. Pozwalała nam wspólnie wybierać tematy wierszy, które pisaliśmy potem na każdym kamieniu. Wydawało mi się wówczas, że nawet jeśli nasze wycieczki nie są dla niej wyjątkowe, to przynajmniej kiedyś uzna rodzinne spotkania za ciekawy motyw wystawy. Pragnąłem zostać kolejnym i ostatnim krewnym, którego użyje w swojej sztuce. „Kamienna więź pokoleń” – świetny tytuł wystawy. Tak się jednak nie stało. Kiedy przyjechałem na jej pogrzeb, okazało się, że zostawiła bardzo szczegółowy testament, w którym opisywała, co należy zrobić z jej kamieniami. Część miała trafić do lokalnego muzeum, z którym wcześniej zawarła umowę notarialną – czterdzieści lat małżeństwa z prawnikiem nie poszło na marne – a druga część miała zostać wysypana na jej ulubionej plaży. Jej pośmiert-

na wystawa składała się z wybranych przez komisję Akademii Sztuk Pięknych w Gdyni kamieni z kolekcji muzealnej wsi Kamień. Nie znalazły się tam dzieła z moimi wierszykami – nie były wystarczająco dobre, aby trafić do domu kultury małej kaszubskiej wsi.

Moimi najdroższymi wspomnieniami z babcią pozostają różnokolorowe kamienie z wierszami o przyrodzie i pięknie Bałtyku, które pisaliśmy, gdy byłem dzieckiem. Mam nadzieję, że zawiodła mnie pamięć i jeden z siedemdziesięciu sześciu kamieni (po jednym na każdy rok jej życia) w sali wystawowej działu rzeźby na ASP rzeczywiście zawierał moje niezdarne dziecięce rymowanki. Chociaż intuicja podpowiada mi, że moje słowa leżą teraz głęboko na dnie zimnych bałtyckich wód. Jeden z tych wierszy spisałem z pamięci patykiem na plaży, tej jej ulubionej, przy Cyplu Rewskim. Czekam, aż fala zmyje moje słowa i wtedy będę mógł wsiąść do pociągu powrotnego do Warszawy. Babcia nigdy nie oglądała się za siebie, więc ja chyba też nie powinienem.

Sasza Pohorelov (on/jego, @pohorelov) – współzałożyciel, redaktor i członek zarządu drukowanego inkluzywnego magazynu DUMA. Autor ponad 20 publikacji publicystycznych, publikowanych w pięciu językach. Prowadzi warsztaty z języka inkluzywnego i budowania niewykluczających narracji w przestrzeni medialnej i korporacyjnej. Pomimo braku formalnych kompetencji, współpracował również z klubami, radiami i galeriami sztuki jako osoba artystyczna. Jeśli są rzeczy, których jeszcze nie robił, to pewnie ma je już w kalendarzu. W wolnym czasie prowadzi humorystyczną stronę z memami @pysznestopy.pl mającą ponad 15.000 obserwujących na Instagramie.



szybciej

Marta Kot

Szybciej, szybciej, podnoś nóżki wysoko, aby nie potknąć się o pierwszą lepszą gałąź. Las szeleści i wypełnia się zapachem żywicy. Co gdyby zlizać ją prosto z kory dębu? Niech spadnie deszcz i podtopi mech. Las nigdy się nie kończy, choć nie ma w nim dróg. Nie bój się, że się ściemni. Mama zawoła Cię na kolację i utuli po wieczorynce. Szybciej, szybciej. Podnoś nóżki wysoko i nie pozwól, żeby gęsi pana Chałupki pogryzły Cię w kostki. Za pierwszym domem, za zakrętem, stoją koniki. Dwa małe i sześć dużych. Jeden ma plamkę na oku, drugi – przykrótki ogonek. Przewracam się na drugi bok. Szybciej, szybciej, podnoś nóżki wysoko, by zdążyć przed pierwszą gwiazdką na niebie. Jest ciepło, więc masz na sobie sukienkę w biedronki. Las wcale nie jest obcy. Tylko gdzie skryć się przed powodzią? Co, jeśli nagle zacznę się topić? Czuję, że przemakają mi skarpetki. Różowe skarpetki z falbanką, które zakładam tylko w niedzielę, do Kościoła. Są ubrania na niedzielę i na beztydzień. Siedź ładnie, jak dziewczynka. Nie potrafię. Pupa zapada się w piasek, który wchodzi mi pod paznokcie. Mam mokre skarpetki i zaczynam płakać, ale nikt nie widzi łez pod wodą. Chciałabym mieć buty ze świecącą podeszwą. Szybciej, szybciej, machaj nóżkami, zanim przestaniesz oddychać. Biedronki z sukienki zaczynają frunąć. Dlaczego nie zabiorą mnie ze sobą? Nabieram wody w usta. Porywa mnie wir. Szybciej, szybciej, zaraz przestaniesz oddychać. Dryfuję. Wtulam się w zieloność stawowej ropuchy i płynę. Jest mi dobrze. Mam cekinową sukienkę i jestem syrenką. Szybciej, szybciej. Koniec wodowania na zalewie w Pniowcu.

składałam się ze wszystkich leśnych kapliczek
utkano mnie z włókien żalu
niebiodegradowalnych
łez
nie ma
mnie w żadnej leśnej alejce
w każdej jestem tak samo jak
głuchy szept jaskółek pusty wzrok skowronka

Marta Kot

Marta Kot – lubi pisać. Dużo i właściwie zawsze o tym samym. O Górnym Śląsku, starych babach i umieraniu. Publikowała gdzieś tam, coś tam. Napisała książkę *Heniusz*. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @kiteq.

Zegarki

Roksolana Zhar-
kova

kobietom

takim jak Mary Wigman

dla N.S., która pewnego dnia zainspirowała mnie do odejścia

Parkiet jest zbyt śliski, cisza za oknami zbyt głośna, linia światła z ulicy zbyt nierówna, wkradająca się do pokoju, wypełniająca wnętrze zbyt kłującym blaskiem. Kasia próbuje zrobić kilka niesłyszalnych kroków, próbuje potoczyć piłkę po podłodze, próbuje rozprostować nogę niczym wskazówkę zegara. Tego, który na korytarzu przesypuje minuty przez zbyt drobne sito swojej tarczy. „Zrób mi północ” – Kasia przypomina sobie nagłą prośbę kobiety o czarnych włosach i przejrzałych jagodowych ustach.

Niech będzie piętnaście po szóstej, dokładnie piętnaście po szóstej... Kasia patrzy spragniona na zdjęcie tej kobiety, upijającej kilka łyków zgniłej wody z jeziora Maggiore w Monte Verita, gdzie ta kobieta (tak, to ona) pokazuje całemu światu piętnaście po szóstej, gdzie odważnie pokazuje światu swoją złotą godzinę.

– Można to zrobić bez muzyki... Nawet powinno się to zrobić bez muzyki!

To powinien być drażek, przy którym uczą się stawać swoimi własnymi zegarami.

– Bądź idealnie wyprostowana! Musisz brzmieć. Zrób to, jak trzecia trzydzieści nad ranem, dziewczyno...

Codienne próby łamiał Kasi kości, przecinają ścięgna i zakrwawiają skórę.

– Dziewczyny, pamiętajcie o kontrastach w ruchu! Radość z bólem, miłość z nienawiścią, uśmiech z krzykiem! – tłumaczy kobieta, powoli przyglądając się oczom i kościom policzkowym, klatce piersiowej i obojczykom, brzuchowi i kolanom bladej nie do poznania Kasi, która niemal mdleje, gdy Frau Wigman tak na nią patrzy.

– Poczujcie dysonanse, poczujcie jak wasze zakrwawione mięśnie rozrywają się na drobne kawałki, poczujcie jak wasze ciała topnieją i robicie się duchami sceny!

Kasia drży, po jej plecach spływa strużka potu, spływa po pośladkach aż do jedwabnych majtek. Kasia jest zawstydzona, jakby ktokolwiek zauważył łódeczkę, tak małą pod jej mokrymi żagłami.

Na zajęciach tanecznych jest duszno. Rytmiczne oddechy dziewcząt czasami zamierają od fali głosu Frau Wigman.

– Ręce! Ręce! Wyobraźcie sobie, że to gałęzie drzew.... Gałęzie!

Kasia napina palce tak, że konwulsyjnie drżą, przywierając do gałęzi cudzych drzew – do palców Hani i Maryli, do tych obok niej, do tych, które też próbują dotknąć białego wapiennego sufitu. Bola ją plecy, a pęcherz wypełnia się jękiem, który musi jakoś uwolnić, gdzieś zgubić. Kasia spieszy się do toalety.

Ona wybiega z pokoju, gdzie ciała lepkie od potu parują gęsto, gdzie palce przebijają przestrzeń przed tobą, gdzie czujesz się winna własnej bezsilności, ugniatając ją jak ciasto na blacie, a ona przykleja się do ciebie, przykleja i przykleja.

Spuszczając wodę, Kasia rozpoznaje głos zatoki w labiryncie kanalizacji, głos brzegu, gdzie okrągłe i prostokątne fale zderzają się ze sobą, gładkie i kłujące, zygzakowate i spiralne, nowe i stare, trochę zużyte. Kasia słyszy słoność zatoki, która łączy ludzi i morze, stając się chwiejnym mostem przejść i przepraw.

Kasia myje ręce jak gałęzie, by znów móc sięgnąć sufitu. W kranie słyszy szum morza, przerywany i trochę żałobny. Ci, którzy mieszkają najdalej od morza, są tymi, którzy mieszkają najbliżej niego, powtarza zdanie matki i w końcu rozumie ten dysonans. Nie miał czasu. On nigdy nie zabierał jej na wakacje do swojego nadmorskiego miasteczka, nigdy nie wziął jej na plażę, nigdy nie uczył jej pływać.

Wraca i nadal jest drzewem. Wyrasta z błyszczącego, wytartego niemal do dziur parkietu. By pilnować swojego drzewa. Dalej słyszy morze przez ściany, dalej wie, że nie bulgocze gdzieś obok, że jest hałaśliwe – nad naszymi głowami, nad naszymi gałęziami.

– Zrób piętnaście po szóstej – kobieta o czarnych włosach wciąż unosi się nad głową Kasi jak poszarpana mewa.

Mów swoim ciałem o godzinach, nad którymi czas nie ma kontroli. Mów swoim ciałem o morzu, w którym nigdy nie pływałaś. Mów ciałem o dniu, w którym opuścił cię ojciec. Mów ciałem o chwili, w której zapomniał o tobie i twojej matce, zapomniał albo nigdy nie pamiętał. Mów, jeśli potrafisz.

...mieli kiedyś w domu żółty zegar fosforowy. Świecił w ciemności, miał dwie wskazówki i dwanaście kropek. A mama nosiła na

nadgarstku mały srebrny zegarek bez baterii. Nosila zegarek bez godzin. Jakby wszystkie godziny wysypały się jak ziarna z dziurawego woreczka, jak monety z kieszeni, jak słowa z gardła.

Za chwilę Kasia będzie mogła pokazać światu swój czas. Wszystkie godziny, swoje i swojej matki. Obiecała, kiedy była malutka, że znajdzie czas.

Frau Wigman mówi, że można to zrobić bez muzyki. Nawet koniecznie bez muzyki. Kontrasty, dysonanse, ekspresja – to jest właśnie prawdziwy sens!

18:15

18:30

Kasia trwa jako drzewo. Nerwowo odwraca się i dalej jest drzewem. Wyrastającym z błyszczącego, wytartego prawie do dziur parkietu.

Roksolana Zharkova – ukraińska pisarka, eseistka, krytyczka literacka. Feministka, badaczka kobiecego pisarstwa i cech sztuki kobiecej. Absolwentka filologii na Lwowskim Uniwersytecie Narodowym im. Iwana Franki. Uczestniczka, finalistka i zwycięzeczka wielu krajowych i międzynarodowych konkursów literackich i artystycznych. Autorka zbiorów poezji *SluchaTy – morze* (2015), *Ręce i słowa* (2017), *Wszystkie moje ptaki* (2019), tomików opowiadań i półpowieści *On pachnie jak ty* (2017). Opowieść *Zero całości, zero dziesiątek*, która wygrała w V Ogólnoukraińskim konkursie literackim im. Hryhora Tyutyunnyka (Kijów, 2021), opowiada historię bohatera z okupowanego Ługańska. Bada traumatyczne doświadczenia kobiet w tekstach literackich, porusza kwestie związane z wojną, migracją, uchodźcami, analizuje problem granic w literaturze i sztuce. Tym zagadnieniom R. Zharkova poświęciła swój najnowszy zbiór opowiadań *Biegnij, Eurydyko!* (2023).

- "All for Greed," Author of (Baroness de Bury).
All for Greed 1 v. — **Love the Avenger** 2 v.
Anderson, Sherwood (Am.).
Dark Laughter 1 v.
Anstey, F. (Guthrie).
The Pariah 1 v. — **The Talking Horse and other Tales** 1 v. — **The Brass Bottle** 1 v.
Mrs. Argles: vide Mrs. Hungerford.
Author of "The Aristocrats": vide Gertrude Atherton.
Atherton, Gertrude Franklin (Am.).
 — **The Californians** 1 v. — **Patience Sparhawk and her Times** 2 v. — **Senator North** 2 v. — **The Aristocrats** 1 v. — **The Splendid Idle Forties** 1 v. — **The Conqueror** 2 v. — **A Daughter of the Vine** 1 v. — **The Fortunate Grace, etc.** 1 v. — **The Runaways** 1 v. — **The Bell in the Tower and Other Stories** 1 v. — **The Travelling Thirds (in Spain)** 1 v. — **Rezanova** 2 v. — **The Gorgeous Isle** 1 v. — **Tower of Ivory** 2 v. — **Julia France and her Times** 2 v. — **The Crystal Cup** 1 v.
Austen, Jane, † 1817.
Sense and Sensibility 1 v. — **Mansfield Park** 1 v. — **Pride and Prejudice** 1 v.
"Autobiography of Lutfullah," Author of: vide E. B. Eastwick.
Avebury, Lord: vide Lubbock.
Bacon, Francis, † 1921.
Essays (with Glossary) 1 v.
Bagot, Richard, † 1921.
Casting of Nets 2 v. — **The Jew and the Just** 2 v. — **Temptation** 1 v. — **The Lives of Northern** 1 v. — **The House of Terravalle** 2 v. — **The Italian Year** 1 v. — **The Italians** 1 v. — **Barney** 1 v.
Baring, M. Rice.
Hanna White's Romance 1 v. — **Daphne Adone** 1 v. — **Winkles** 1 v. — **Comrades in Memory** 1 v.
Baring-Gould, S.
Malah 1 v. — **John Herring** 2 v. — **Geart Royal** 2 v.
Barker, Lady (Lady B.).
Berrett, Frank.
Author of "Miss Bayle's Romance": vide W. Fraser Rae.
Baynes, Rev. Robert H.
Lyra Anglicana, Hymns and Sacred Songs 1 v.
Beaconsfield: vide Disraeli.
Beaumont, Averil (Mrs. Hunt).
Thornicroft's Model 2 v.
Beaverbrook, Lord.
Success 1 v.
Bel, Currer (Charlotte Brontë—Mrs. Norton), † 1855.
Jane Eyre 2 v. — **The Professor** 1 v. — **Ellis & Acton Family**, † 1848, and **Ellis**, † 1849, 1 v.
Wuthering Heights and **Agnes Grey** 2 v.
Bellamy, Edward (Am.), † 1898.
Looking Backward 1 v.
Bell, Hilary.
The Haunted House 1 v. — **Shadowed** 1 v.
Benedict, Frank Lee (Am.).
St. Simon's Niece 2 v.
Bennet, Arnold.
The Grand Babylon Hotel 1 v. — **The Gates of Vienna** 1 v. — **A Great Man** 1 v. — **Secrets of the Palace** 1 v. — **Whom God has Chosen** 1 v. — **The Ghost** 1 v. — **The Five Towns** 1 v. — **The Old Wives' Tale** 1 v. — **The Simple** 1 v. — **Helen with the High Head** 1 v. — **Claydon** 2 v. — **The Matador of the Five Towns and Other Stories** 1 v. — **Leonora; a Novel** 1 v. — **Anna of the Five Towns** 1 v. — **The United States** 1 v. — **The Roman** 1 v. — **The Truth about an Author, and Literary Tests** 1 v. — **The City of Pleasure** 1 v. — **Hugo** 1 v. — **Paris Nights** 1 v. — **The Man and his Wife, etc.** 1 v. — **Friendship and Happiness, etc.** 1 v. — **The Love Match** 1 v. — **How to make the Best of Life** 1 v. — **Riceman** 1 v. — **The Lost of Cities** 1 v. — **Bliss and the Child** 1 v. — **Lord Rains** 2 v. — **The Strange Vanguard** 1 v. — **The Woman who Stole** 1 v. — **Accident** 1 v.
Bennett, A., & Phillips: vide Edon & Phillips.
Benson, E. F.
Dodo 1 v. — **The Challoners** 1 v. — **An Act in a Backwater** 1 v. — **Paul** 2 v. —

Pożegna- nie ze sce- ną

Marcin Salwin

„Biec bez tchu, nie osiągając celu, już samo to jest rozkoszą, pełną żywej nadziei, która trwa”.

Anne Carson, *Słodko-gorzki Eros*
(przeł. Renata Lis)

Edmund Dantes, już po przedzierzgnięciu się w tytułowego Hrabiego Monte Christo, siedzi przy stole na przyjęciu urodzinowym szesnastoletniego Alberta Mondego. Naprzeciwko niego – matka solenizanta, Mercedes, niegdyś ukochana Dantesa, a teraz żona jego byłego przyjaciela, za sprawą którego wylądował w twierdzy Château d'If na niespełna półtorej dekady. Ta scena filmowa niezmiennie od lat należy do moich ulubionych. Mercedes wyraźnie coś przeczuwa. Chociaż od dawna jest przekonana, że Dantes nie żyje, intuicja nie daje jej spokoju. Przygląda mu się, błądzi oczami po jego twarzy. Milczy, powoli godząc się z faktem, że to po prostu niezwykle podobieństwo, gotowa odepchnąć swoje przeczucie, ale wtedy hrabia Monte Christo zakręca na palec swoje włosy na wysokości karku, dokładnie tak samo, jak robił to jej Dantes w jednej z pierwszych scen filmu. Oczy Mercedes rozszerzają się. Ona już wie. Bariera runęła. Mamy to. Mamy wszystko, co ważne.

Niemcy, znani ze swojej językowej tendencji do łączenia dwóch słów w jedno, mówią o *Vorfreude*. Zlepek *vor-* (przed) i *-freude* (szczęścia) tworzy przedszczęście. To zjawisko, którego definicji brakuje w polskim słowniku, jest synonimem ekscytacji wyczekiwania, zawsze pełnym nadziei – cierpliwym, chociaż nienastawionym na niepowodzenie. My wiemy; ona

nie wie, ale już zaraz się dowie (na pewno); on wie, że ona wie. To właśnie ta podniecająca przedeksytacja, wyprzedzająca o pół kroku fakt dokonany. Chcemy, żeby wiedziała. Czekamy na to.

Zgodnie z gatunkową poetyką romansu, konflikt wynika z przeszkody stojącej na drodze ku połączeniu dwojga bohaterów, co potwierdza Pamela Regis w *A Natural History of the Romance Novel* [Historia naturalna romansu jako powieści]. Właśnie ta bariera stanowi esencję i główny motor napędowy fabuły – to jej przekroczenia pragniemy jako odbiorcy i to jej przekroczenia pragną bohaterowie. Jak słusznie zauważa Anne Carson w *Słodko-gorzkim Erosie* – ten układ trzech sił (pary bohaterów i czynnika brużdżącego), mimo swojej topiczności, nie zawsze jest jednoznaczny i powielany w przewidywalnym schemacie. Czasami przeszkodą są czynniki zewnętrzne – historia, różnica klasowa, inny bohater – a czasami pełna sprzeczności natura jednego z wewnętrznie skonfliktowanych kochanków.

Jednak ta bariera, jaka by nie była, zostaje ostatecznie pokonana. Połączenie bohaterów, niekoniecznie tylko romantyczne, tak wyczekiwane, stanowi kulminację, więc utwór chyli się ku końcowi. O tym jest *Duma i Uprzedzenie*, o tym jest *Ogniem i Mieczem*. O tym jest przypowieść o synu marnotrawnym i *Shrek*. O tym są piosenki Myslovitz i tym jest ukłon na koniec spektaklu – iluzja pryska. Jestem już tylko ja i ty. Więc co dalej?

Twórcy współczesnej kultury popularnej, zainteresowani pogłębianiem interaktywności i partycypacyjności, coraz częściej eksplorują wielozakończeniowość. Do jednego tekstu bywają pisane mnogie zakończenia, do których prowadzą decyzje podejmowane w trakcie obcowania z utworem. Ich zakres i kształt jest ściśle zależny od specyfiki medium, w którym zostały powołane. Wybory dokonywane przez odbiorczynię często posegregowane są na dość normatywne kategorie o moralnie zachowawczej dynamice – zakończenia wyraźnie „dobre” i wyraźnie „złe”.

Kultura poza interaktywnością może sobie pozwolić na większą ambiwalencję w snuciu zakończeń, na poszukiwanie odcięcia szarości. Mogłoby się wydawać, że ustanowiony raz na zawsze koniec pozbawia ją dramatycznych napięć i zdolności do procesualnej adaptacji. Ale to nieprawda. Nawet tam jest miejsce na „elastyczności” w przechodzeniu od eksponowania własnej niezależności do bezkolizyjnego wchodzenia w większą strukturę jako jej trybik, i odwrotnie”, jak pisze Marta Smolińska.

Ale narracja nie żyje dla tegoż *po*. Narracja i opowieść żyje dla tego, co w trakcie – dla procesu chcenia bardzo mocno i pragnienia tego, co poza zasięgiem. Potem nie ma już nic.

W jednej z ostatnich scen filmu *Dobry, zły i brzydki* Clint Eastwood, trzymając w dłoni biały kamień, deklaruje: „I’m going to write a name on this stone [Wyryję swoje imię w tym kamieniu]”. Odkłada go na gruzowisku napisem do dołu,

z dala od oka kamery. W drugiej części tetralogii *Zmierzch*, na moment przed słynnym *Twilight Depression Montage* w rytm *Possibility* Lykke Li, Bella Swan pisze w desperackim e-mailu: „Droga Alice, zniknęłaś, jak wszystko inne. Ale z kim jeszcze mogę porozmawiać? ...Jestem zagubiona, Alice. Kiedy odeszłaś – i on odszedł – zabrałaś ze sobą wszystko. Ale jego nieobecność jest wszędzie”.

Dwie sceny później kamień Eastwooda okazuje się nieopatrzonego żadnym tekstem, ale my zostajemy z tym sami.

Bibliografia:

Anne Carson, *Słodko-gorzki Eros*, tłum. Renata Lis, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2020.

Pamela Regis, *A Natural History of the Romance Novel*, University of Pennsylvania Press, Pennsylvania 2003.

Sergio Leone, *The Good, the Bad and the Ugly*, Produzioni Europee Associati, United Artists, Włochy 1966.

Marta Smolińska, *A-resztowanie (nie)widzialnego*, [w:] *Efekt motyla. Humanisci wobec teorii chaosu*, tom. 2, red. Kordian Bakula, Dorota Heck, Księgarnia Akademicka, Kraków 2012, s. 89-90.

Chris Weitz, Melissa Rosenberg, *The Twilight Saga: New Moon*, Summit Entertainment, Stany Zjednoczone 2009.

ContraPoints, *Twilight*, www.youtube.com, 1 marca 2024, <https://www.youtube.com/watch?v=bqloPw5wp48>, dostęp z dn. 18 maja 2024.

Marcin Salwin – wicemistrz powiatu w rzucie oszczepem z 2013. W 2006 laureat II miejsca w konkursie plastycznym dot. oszczędzania, a w 2019 – II miejsca na II Biennale Tkaniny Artystycznej. Nie czuje zapachów od 2022. Najszybszy uciekinier z Wiedzy o Teatrze, niepełny polonista, zadeklarowany magister sztuk pięknych. Reprezentant nieimponującego zarostu. Fatalny saksofonista, jeszcze gorszy trębacz.



bezglowa sonia

Sonia Surma

*bezglowa sonia podąży teraz
ścieżką bezglowych grzybów
zbaczając z utartej drogi
szukam kamieni*

i znajduję tak wiele
że nie jestem w stanie
utrzymać ich wszystkich
w moich brudnych dłoniach

czasami podnoszę ten
którego nie powinnam ruszać
i odkrywam zawile wnętrze lasu
niespokojne, drżące od insektów

(pospiesznie chowających jaja
jakbym stanowiła zagrożenie
lecz jestem tylko miękką osobą
która ostrzy słowa)

nie czuję się dobrze
więc postanawiam je zwrócić
delikatnie wypełniam luki
które po sobie zostawiły

gdy buduję spiralę
cisza wokół gęstnieje
patrzac, jak fragmenty
trafiają na swoje miejsca

moja głowa rośnie
od słów i gwiazd
pojawiających się zawsze
gdy podnoszę wzrok

(jeśli zmrużę oczy
być może dojrzę planetę
przed którą ostrzegała
moja przyjaciółka)

po ukończeniu pracy
i zbudowaniu spirali
bezglowa sonia wraca do domu
siada na kanapie, pije szklankę wody

Sonia Surma – pracuje ze słowami i z dźwiękiem. Autorka wierszy i audycji radiowych (NTS, HKCR, Radio Bollwerk, Radio Kapitał). Sporadyczna podsluchiwaczka. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @sonia.surma i na <https://linktr.ee/soniasurma>.

hop

Magda Salak

hop do trumny
kochanie
jak mi się spod stopy usunie kamień
to mnie nawet ręka nie złapie tylko wstyd
że się tak dałam załatwić
w jeden wieczór

na plecki
i patrzeć w sufit łatwizna
ja w tej trumnie podwiecznie i ze mną
ten kamień nad głową
co mnie tak poprzetrącał
ten głąz potylicy
spocznęty

pokój mój własny pokój
własny sufit
nielekko tak tęsknić w zmęczeniu że łatwo tak dać się
dać spokój i nogę

ale

jeżeli spać jak kamień albo wcale
to hop

pozwólcie mi (proszę) zagrzebać
się w ziemi - nie chcę tlić
się jak popiół i diament. chcę r

u
n
ą
ć

w runo do gruchotu kości / miękko jak trzask / w potrzask / to
co żyje

obraća twarz do ognia,

wali stopą

w zimne poszycie / w rytm nieubłaganych / iskier

poblasków stosów pogrzebowych

uniżenie

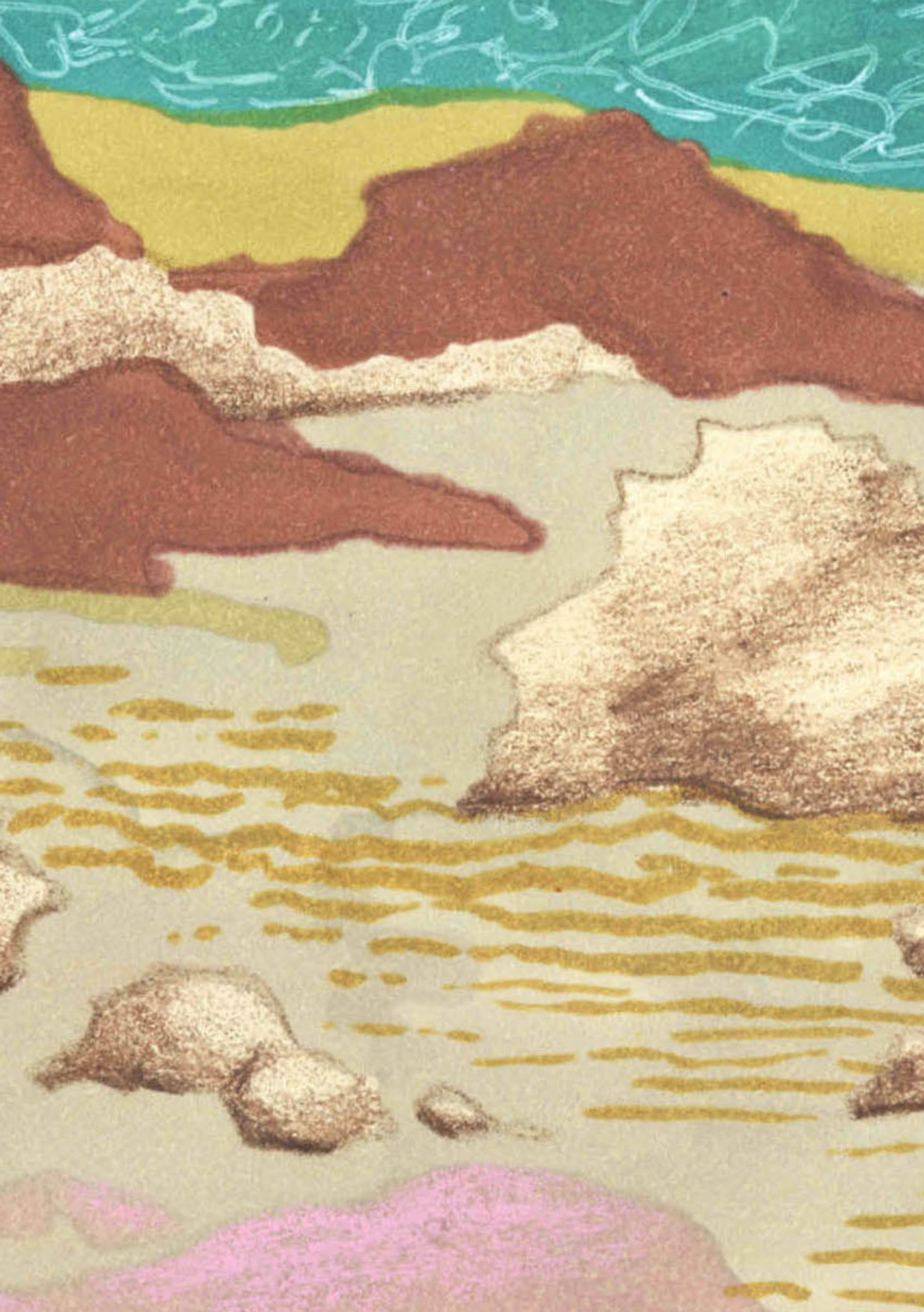
proszę o pozwolenie

na ruinę

prośba

Magda Salak





Moja siostra położyła się na plaży

Weronika Wierczerek

Moja siostra położyła się na plaży 13 stycznia, w trakcie największej od kilku lat burzy śnieżnej. Szukaliśmy jej po całym miasteczku. Kiedy znaleźliśmy ciało, było już lawendowe, a Aija mówiła, że czuje ciepło. Tamtego dnia zrozumiałem, że koniec nie jest punktem na osi czasu. Zakończenie wycisza się powoli, opuszcza żłobienia mięśnia sercowego, sprawia, że gałki oczne wysychają. Tak wygląda koniec.

Bałtyk ma właściwie tylko trzy kolory i każdy z nich jest zimny. Morska zieleń rozciąga się w górę, przechodząc w szarość, a dołem idzie beżowa skóra. Tak też wyglądają tutaj ludzie. Błede, wyciągnięte sylwetki z turkusowymi oczami. Od tła odróżnia ich jedynie róż, który pojawia się na knykciach i policzkach poszczypanych mrozem. W większości jednak wszystko stapia się w mętne nieruchome mleko. Postacie zapadają się w piasek, piasek w wodę. Potem woda znika w szarej wacie nieba. Tu, na Północy, dywany tkane są z białych skorupiek. Każdy spacer jest szorstki.

W sezonie turystycznym przy brzegu cumują promy. Nikt jednak nie zostaje na dłużej, przyjezdni czym prędzej odjeżdżają w głąb lądu. My sami nie wiedzieliśmy, jak wygląda świat za horyzontem, co mamy ze sobą zrobić, jak wydostać się z sennego miasteczka. Mnie najbardziej przerażała wizja latania. Nigdy wcześniej nie siedziałem w samolocie. Wolałbym ruszyć w świat statkiem. Miałem w pokoju figurkę wzniesłego żaglowca i patrzyłem na nią przed snem, zastanawiając się, czy kiedykolwiek uda mi się uciec.

Czasem wybieram się nocą na plażę. Pamiętam taki jeden spacer na początku zimy. Na niebie płonęła gwiazda, ciągnąc za sobą sze-

roki, srebrny ogon. Nie chciałem nawet silić się na próbę opisania nieba. Nie czułem potrzeby szukania epitetów. Nie czułem żadnej potrzeby, tylko spełnienie. Jakby wszystko było po coś. To czyste przeżywanie zostanie ze mną do końca życia.

Gdybym miał do czegoś porównać życie mojej siostry, byłaby to wspinaczka na drzewo. Na baobab spleciony z ziemią i niebem niekończącą się siatką twardych korzeni. Najpiękniej było, kiedy siedziała na wysokiej gałęzi, bujała nogami i śmiała się jak dziecko. Z drzewa widziała nasz dom i morze, a codzienność była jakaś. Do zniesienia. Machała mi i wystawiała twarz do słońca. Nigdy jednak nie dało się jej powstrzymać przed pójściem wyżej. Jej szeroko otwarte oczy błyszczały, kiedy wskakiwała coraz wyżej i coraz zuchwalej. Prosiłem, by była ostrożna, a ona śmiała się ze mnie, wystawiała język i chwytiała gałąź, tylko jedną ręką, żeby wyzwanie było większe. Krzyczała, że jest spragniona tego, co za horyzontem, że musi wszystkiego doświadczyć.

I nagle zaczynała spadać.

Nie mogłem jej złapać, dotykałem jej ciała, ale była jak puch, przełatywała przez moje palce. Kręgosłup z hukiem kruszył się w spotkaniu z plecionką korzeni. Patrzyłem na nią. Leżała bez ruchu. Spędzała całe dnie w łóżku. Zdawało się to trwać wieczność. Po jakimś czasie wstawiała i patrzyła na mnie ze łzami w oczach.

– Chodź, wszystko będzie dobrze.

Tak trzeba było ją wołać.

Najpierw lekko dotykała pnia, jakby badała jego fakturę i możliwości wspinaczki. Obserwowałem to cierpliwie. Potem naprzemiennie, kilka prób zaczepienia się i podciągnięcia na pierwszą gałąź,

upadek na korzenie i płacz. Po kilku powtórzeniach chwyciła moją rękę i znów zaczynała wspinaczkę. Wraciła do codzienności. Moment błysku pojawiał się zawsze, puszczała mi oko i szła wyżej. Nie mogłem jej powstrzymać, choć wiedziałem, jak to się skończy.

Nawet po kilkunastu latach te przypływy i odpływy, sztormy i leniwa gładkość tafli nie spowszedniały. Cierpiała i nie zdawała sobie sprawy z powtarzalności swojego życia. Była podekscytowana wspinaczką i zaskoczona każdym upadkiem.

Wydaje mi się, że Aija zachorowała, kiedy po raz pierwszy dostrzegła iluzję istniejącego gdzieś dalej świata. Pakowała walizki tylko po to, by przekonać się, że z tego portu nie ma ucieczki.

Moja siostra położyła się na plaży 13 stycznia, w trakcie największej od lat burzy śnieżnej. Już nigdy więcej nie weszła na drzewo. Od tamtej pory była tylko trzema kolorami, a ja kupiłem swój pierwszy bilet na samolot.

Weronika Wieczorek – pochodzi ze Szczecina, ale aktualnie mieszka nad morzem. Z wykształcenia jest filologiem i historykiem. Patrzy i dokumentuje. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @kocikaprys.

plandeka ugięła się pod śniegiem pozwalając światu wlać się
do środka w niewysokiej wodzie na tle kafli wiją się
tłuste dżdżownice unoszą się liście i patyki
wszystko co ciężkie opada

splot ogrodowej rękawiczki przemaka kiedy podnoszę ciała
zwierząt ich oskórek błyszczy przetchlinki wpuściły wodę

babcia bierze nieżywe i grzebie pod hortensją zanim zobaczy
to dziadek ziemia chowa się pod popękanymi płytkami pa-
znokci

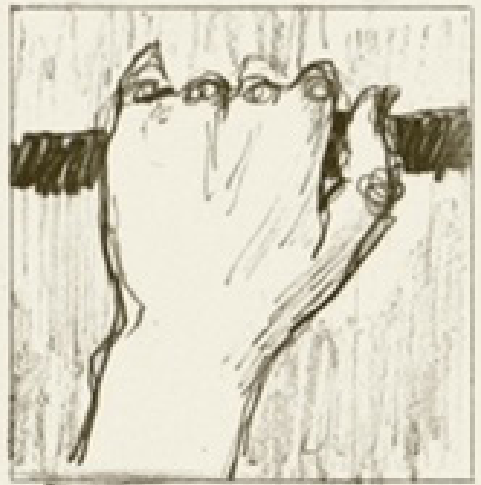
na jesień za słabo przybiłem śledzie

Jan Mokrzycki

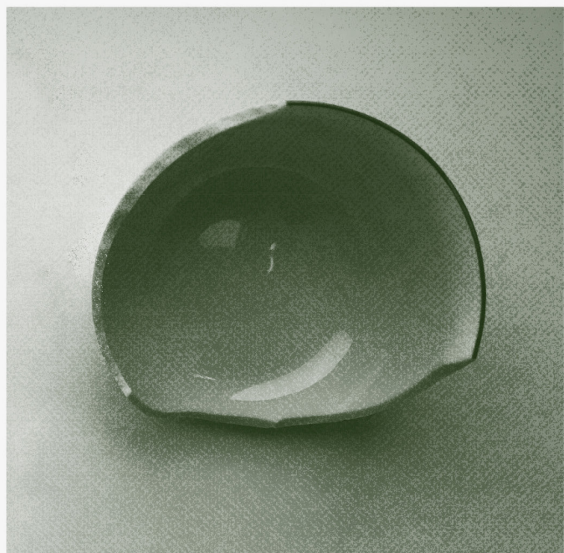
Jan Mokrzycki (ur. 1998) – poeta, slamer, z zawodu lekarz. Student sztuki pisania na UAMie. Do tej pory jego teksty ukazywały się w antologiach slamerskich, publikowany zestaw jest debiutem czasopiśmiennym. Człowiek typu fototropicznego, cokolwiek to znaczy.

Redakcja: Krystian Furga, Klaudia Kołodziejczyk,
Jowita Mazurkiewicz, Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Korekta: Krystian Furga, Jowita Mazurkiewicz
Skład: Klaudia Kołodziejczyk, Sandra Moczulska
Projekt okładki: Marcin Salwin
Grafika na stronie 2: Agata Kwiatkowska
Grafiki na stronach 9 i 17: Marta Pokorska
Grafiki na stronach 12-13 i 32-33: Zuzanna Stempska
Grafika na stronie 25: Aleksandra Kopel
Grafika na stronie 39: Miłosz Gąsiewski
Grafiki na stronach 44 i 45: Joanna Kempaska
Grafika na stronie 51: Nina Dębowskiak

Magazyn Literacki Składka, Warszawa 2024
www.magazynskladka.pl



.



SKLADKA